

Ci, co odeszli

Narodziny klasyka

Jednym z pierwszych pytań, jakie zadałam mojej matce, było pytanie czy pamięta powstanie z 63-go roku. Trochę sobie z tego potem pokpiwano w rodzinie. Matka moja oczywiście powstania pamiętać nie mogła, bo nie było jej wtedy na świecie, ale samo pytanie zadane z dziecięcą powagą świadczy dobrze o tym, jak rozporządzając jakimiś tajemniczymi wręcz środkami przekazu przelewano z pokolenia na pokolenie wiedzę o przeszłości, mity i tradycje narodowe. Zaszczepione we wczesnym dzieciństwie kiełkowały i rosły z człowiekiem, stając się na koniec właściwie funkcją umysłu i czucia, ba, niemal cechą charakteru. Bo w kraju, którego byłam wtedy obywatelką — w przeciwieństwie do kraju, którego obywatelką jestem teraz — historia była wiecznie żywa i mieszkała w nas, a nie jedynie po muzeach. I do pewnego stopnia wszystkie pokolenia porobiorowe, także te urodzone w Dwudziestoleciu niepodległości, żyły obok siebie, karmiąc się tą samą strawą zrywów i klęsk narodowych.

Działo się to w mieście Żeromskiego Kielcach, gdzie się urodziłam i gdzie w pięknym starym parku rodzice pokazywali dzieciom staruszka, drzemiącego na ustronnej ławce. Był to weteran z 63-go roku. Szeptem objaśniano latoroślom, że weteran miał w powstaniu zaledwie dziesięć lat i był doboyszem. Dzieci przystawały i gapiły się, staruszek trwał nieruchomo na swej ławce. Była to pewnie ta sama ławka, na której Biruta na zawsze pożegnała wzrokiem Marcina Borowicza. W każdym razie było to mniej więcej w miejscu, które opisał Żeromski. W Kielcach nie prowadzono dzieci do muzeów, bo i po co? Muzeum narodowe było wszędzie. Nigdy już nie rozplączemy tych nici, bo nie wiemy właściwie, co sami przeżyliśmy, co nam opowiadano, a co przeczytaliśmy może właśnie u Żeromskiego. Nie ma bardziej aktualnego bohatera powieściowego nad Cezarego Barykę. Za-

brakło nam może chwilowo Wallenroda, ale istnieje wallenrodizm, a na pytanie Konrada z „Dziadów” części III-ej „Ktoś ty, ktoś ty kruk?” należałoby dziś udzielić wyczerpującej odpowiedzi w trzech tomach. Literatura — odzwierciedlenie dziejów narodu — wzięła nas za rękę i kształtowała, czasem niestety zniekształcała i korygowała nasze zrozumienie i wycucie historii. I dlatego w Polsce, znowu w przeciwieństwie do kraju, w którym żyję teraz, literatura była i jest nierozzerwalną częścią historii, a historia była i jest nierozzerwalną częścią literatury. Historia dostarcza materiału, pisarze interpretują ten materiał, a czytelnik odbiera go, może nie bez zastrzeżeń, ale na ogół z zaufaniem, bo polskie zaufanie do klasyków literatury uświęcone jest długą i ważką tradycją. Jest to system, z którego zrodziło się pojęcie wieszczca. A wieszczów jest dużo więcej niż trzech, choć oficjalny tytuł jest już na zawsze zastrzeżony.

Zgon Józefa Mackiewicza jest ogromną stratą dla literatury. Ale przybył nam klasyk, nowy interpretator dziejów, na którego sądy będą się powoływały przyszłe pokolenia, podobnie jak powołujemy się na sądy Żeromskiego, Sienkiewicza czy Prusa, nie zawsze zresztą zdając sobie z tego sprawę. Śmierć uczyniła go świadkiem zarówno i sędzią, a że sam nic już nie doda do swego dzieła, więc stało się ono epickie też i w tym znaczeniu, że jest zamknięte, bo skończyła się epoka Józefa Mackiewicza. Z ostatnim i ostatecznym warunkiem profetyzmu i profecji nie ma żadnych trudności. Historia z dnia na dzień pod piórem Józefa Mackiewicza wysnuwa wnioski na przyszłość.

Zaczyna mnie w tej chwili dręczyć pytanie, czy ciągle nawiązywanie powiedzmy do Żeromskiego byłoby Panu Józefowi miłe? Spieszę więc dodać, że na płaszczyźnie, o której mowa porównanie z Żeromskim nie może być dla żadnego polskiego pisarza krzywdzące. Tak samo jak oglądamy pewne wypadki oczyma Żeromskiego, podobnie będziemy oglądali niektóre wypadki oczyma Mackiewicza. Dla krytyków twórczość Mackiewicza będzie przedmiotem analizy i stałej reinterpretacji. Wygląda w tej chwili na to, że oszczędną go krytycy marksistowscy. Wyjdzie na tym lepiej niż Żeromski, którego nie ominęły interpretacje marksistowskie, dokonujące okrutnych zabiegów na wyrwanych z właściwego kontekstu cytatach.

Rozumiem jednak, że nadając tomikowi opowiadań tytuł „Pod każdym niebem” i swawolny podtytuł „Historie i zdarzenia”, Mackiewicz zastrzegł się przeciw wyłącznej roli pisarza narodowego. Że życzył sobie przybliżyć nam los człowieka w ogóle. Że historie i zdarzenia, które działy się w określonym czasie, na określonym miejscu, mogły dziać się pod każdym niebem. Że może takie i inne figle wydarzyły się i gdzie indziej i znowu się kiedyś wydarzą. I że choć los człowieka jest zawsze wyjątkowy, to losy ludzkie są do siebie podobne, a wszystkie razem są jeszcze częścią wspólnego losu. Można mniej więcej to samo przeżyć i można to mniej więcej tak samo odczuć pod każdym nie-

bem. A samo podobieństwo losów jest jedną z zagadek bytu. W to trudne misterium pisarz zawsze nas wprowadza ostrożnie: „Byłem kiedyś na przykrym pogrzebie, który zapadł mi w pamięć bardziej od innych, choć, jak wiadomo, więcej w tym życiu śmierci niż tego życia”. Jakie to niby proste, jakie bliskie. Kiwamy głową z uznaniem, czytając te słowa.

Tymczasem prostota Mackiewicza, choć prawdziwa, jest równocześnie pozorna. Jest on właściwie pisarzem trudnym. Jasny i prosty styl wprowadza nas w gąszcz spraw skomplikowanych, nawet zagmatwanych. Nie odważylibyśmy zapaść się w takie ostępy bez przewodnika. Zwodnicze jest także odwoływanie się autora do dat czy wypadków prawdziwych. Jest to chwyt. Mackiewicz potrafi tworzyć fikcję nie gorzej od Sienkiewicza. Wcale nie opowiada własnego życia, wcale nie jest kronikarzem, jak nie był kronikarzem Sienkiewicz, choć czerpał z kronik. Fikcja Mackiewicza jest tak sugestywna, że koniecznie musimy się dowiedzieć, co było dalej i niecierpliwie przewracamy strony. A zdawałoby się, że co było dalej nie powinno być tak palące, bo przecież wiemy, że po roku czternastym nastąpił rok piętnasty, a tok wypadków jest nam znany z historii. Napięcie, siłę sugestii odczuwa się najmocniej w twórczości publicystycznej Mackiewicza. A czy rzeczywiście, jak twierdzili niektórzy wielbicieli talentu pisarza, rozmiękał się na drobną monetę, rozpisując się o bieżących sprawach komunizmu i Kościoła, nie mnie sądzić.

W powieści rzuconej na kanwę niedawnych wypadków lub posługującej się wydarzeniami z własnego życia najlepszą miarą talentu jest dystans do spraw i miejsc opisanych. Nie wolno dać czytelnikowi odczuć, że autor przynosi bagaż osobistych żalów i oskarżeń i bierze czytelnika na świadka. Czytelnik z racji swej natury czytelniczej jest uprzedzony i zmienny i nie chce być świadkiem autora. Czytelnik szybko się zniechęca, a nawet zaczyna się po cichu zastanawiać, czy sam nie przeżył ciekawszych rzeczy. Zaczyna w myślach współzawodniczyć z autorem, a to niedobrze. A jeżeli z kolei dystans jest zbyt duży czytelnik nie znajdując żadnej identyfikacji może lekturę rzucić. Bo już nie może stwierdzić z satysfakcją, że mu się przydarzyło prawie to samo. Sztuka pisarska Mackiewicza objawia się w całej pełni w stąpaniu po linii między tymi dwoma dystansami. Podobną równowagę zdołał zachować Prus w „Lalce”.

W recenzjach z książek Mackiewicza dużo pisano o systemie wartości moralnych autora, o moralności w ogóle i dyskutowano poglądy pisarza na ten temat. Wydaje mi się, że Mackiewicz-moralista wkrótce utraci wiele ze swej zagadkowości. Mackiewicz-moralista czy nawet dydaktyk jest tylko drobną częścią Mackiewicza-artysty-pisarza i nie da się wyłaczyć z całości, w której mieści się i etyka i filozofia życiowa, a nawet miłość do rodzinnej Litwy. Tej oczywiście z „Litwo, ojczyzno moja”. Litwy Mickiewicza. Poglądy Mackiewicza na moralność były w gruncie rzeczy normatywne i na czas lektury stawały się poglądami czytelnika.

„Kontrowersyjna” teza, według której nie istnieją narody dobre i złe, istnieją natomiast dobrzy i źli ludzie, a głównie istnieją dobre czy złe systemy, nie zawiera w sobie kontrowersji, bo przecież wszyscy wiemy, że tak właśnie jest. Tylko, że Mackiewicz miał odwagę to jasno powiedzieć, a my nie mamy ochoty czy odwagi mówić o tym głośno ze względu na nasze własne przeżycia. Więc on przemawiał za nas tak, jak przed nim przemawiali za nas inni pisarze i poeci. Nikt się temu nie dziwi i nie uważa takiego rzecznika za zbyt pysznego. A stale opłakiwany fakt, że Mackiewicz był emigrantem i nie ma w Polsce czytelników? Tym się nie musimy martwić. Będzie ich miał tak samo jak mieli i mają ich emigranci, którzy go poprzedzili.

Moja osobista znajomość z panem Józefem była przez siedem lat, jakie spędziłam w Berkeley, jednostronna i niezwykła. Mój kolega na wydziale slawistyki i przyjaciel, emerytowany już, gdy się zjawiłam w Berkeley, Michał K. Pawlikowski był serdecznym przyjacielem Mackiewiczów. Była to przyjaźń o tradycjach starszylacheckich, coś à la Sędzia i Podkomorzy. Dla pana Michała Mackiewicz był absolutnym autorytetem we wszelkiej niemal materii. Prawie codziennie pan Michał odczytywał mi urywki z listów lub coś opowiadał. Poznałam gruntownie dzieje pana Józefa, oczywiście poprzez uwielbiające spojrzenie pana Michała. Dowiedziałam się mnóstwa szczegółów, anegdotek, nawet o zgrozo, starych wileńskich plotek. Kiedyś, później, sam pan Józef dziwił się mojej znajomości tematu. „Ach, to pewnie Pawlikowski”... domyślał się pobłażliwie. Bo w odróżnieniu od innych ludzi, dla których ponoć był surowy, pan Józef odnosił się do mnie z pobłażaniem i tą jakąś sympatią, którą można by śmiało uznać za słabość. Cieszyłam się jego względami. Darzyli mnie zresztą szczególnymi względami wszyscy Litwini, jakich spotkałam na swojej drodze. I ja także darzyłam ich wielką sympatią. I oto prawie wszyscy odeszli. Nie będzie w tym przesady, ani patosu, gdy powiem, że czuję się osierocona.

Wreszcie, niedosiężna dla analizy krytyczno-literackiej, pozostaje niezgłębiona magia słowa. Kadencje wymykające się komentarzom. Zaczarowane słowa, które płyną z prądem poezji, porywając z sobą czytelnika. Rozpoznajemy takie kadencje, albo zdaje nam się, że je rozpoznajemy, że wiemy na pewno, skąd pochodzą:

„Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś kłęski i nadzwyczajne zdarzenia”.

„Termin odstawienia Marcina do szkoły przypadł na dzień czwarty stycznia”.

Jadwiga MAURER